

Zima

If you listen carefully now you will hear

There's a natural mystic blowin' through the air¹

Zamknął oczy, wsłuchując się w melodię. Zaczął nawet lekko kiwać głową do spokojnego, miarowego rytmu. Krzyk. Pogłodził muzykę. Kolejny wrzask wypełniony bólem przeszył powietrze. Muzyka dudniła w słuchawkach na maksymalnym poziomie głośności, jednak ból Bena był głośniejszy. W końcu Liam zdjął słuchawki z wściekłością i rozsunął zamek namiotu. Odetchnął ostrym, zimnym powietrzem i pełnymi bólu krzykami.

Rany boskie, czy on kiedyś przestanie? Przeszedł kilka kroków w kierunku centrum obozu. Wkoło kilkunastu namiotów z wytartym napisem „Umber” ustawiono zdobywcze siatki i płoty. Za nimi widniał ciemny, gęsty las, z którego dobiegało hukanie puszczyka. Liamowi zdawało mu się, że oprócz ptaka słyszy ciężki, świdrujący oddech umarłych, jednak przez ten brutalny rok nabawił chyba się paranoi. Gdy mijał kolejne namioty, sznurki z praniem i małe ogniska, po głowie chodziły mu słowa piosenki. Z któregoś z oświetlonych kojącą łuną księżycą namiotów dobiegał śmiech, a z innego płacz. Wszystko spowite było lekką mgłą.

Niespodziewanie ktoś wykrzyknął jego imię. Liam obrócił się w stronę głosu i ujrzał Williama stojącego u progu prowizorycznego szpitala i ręką pokazującego mu, by przyszedł. *Ten idiota myśli, że jestem jakimś służącym, który przybiegnie na każde jego wezwanie. Ba, on uważa, że każdy jest jego służącym. Od kiedy ta banda głupków wybrała go na przywódcę grupy, za bardzo się rozpanoszył.* Mimo towarzyszących myśli podszedł do Williama i z niechęcią spojrzął mu w oczy.

-Liam, musisz pomóc Benowi. Jest z nim źle.

Niech już umrze i wszyscy będą szczęśliwi.

William poczęstował Liama uśmiechem i spojrzął na niego przepraszająco.

-Proszę. Ben naprawdę potrzebuje pomocy.

Liam westchnął głęboko i bez słowa wszedł do szpitalnego namiotu. *Po co w ogóle próbujemy? I tak niedługo się przemieni jeśli nie amputujemy ręki, a ten dureń nie chce się na to zgodzić bez środków przeciwbólowych. Gdybym to ja był szefem, nie pozwoliłbym na takie brednie. Ale oczywiście William uważa, że trzeba usłuchać Bena...*

Mała lampa naftowa oświetlała kilka względnie czystych materacy i otwartą na stoliku apteczkę. Oprócz Bena nie leżał tam nikt. Mężczyzna w wieku około trzydziestu lat związał się z bólu pod grubym kocem. Krople potu spływały po upstrzonym zmarszczkami i bruzdami

¹ W tekście wykorzystano fragmenty utworu „Natural mystic” Boba Marleya

czole, a spod nakrycia wystawała jego ręka. Nawet z daleka Liam już widział, że jest z nim bardzo źle. Zaszklone oczy biegały z szaleństwem po namiocie, a z rany sączyła się ropa o żółtym zabarwieniu. Głęboka szrama ciągnęła się od palca wskazującego do połowy przedramienia. *Gdyby umarły ugryzł go ponad łokciem, facet już by nie żył.* Krew spływała na resztki bandażu.

-Ben, wiesz, kim jestem?- rzekł ze spokojem- Powiedz moje imię.

Mężczyzna przełknął ślinę, jęknął słabo i wyszeptał jego imię.

-Dobrze. Wciąż myślisz jasno. Jeśli tak jest, musisz pozwolić nam amputować rękę. Albo żyjesz bez ręki, albo nie żyjesz w ogóle.

-Nie... Nie!

Liam westchnął. *Dlaczego to ja muszę go do tego przekonywać, a nie William? On pewnie nie chce sobie ubrudzić rączek, więc zwała całą brudną robotę na mnie.* Lekarz usiadł na podłodze i wsłuchując się w jęki Bena, poprawił zielone oprawki okularów. Nagle coś wyrwało go z zamyślenia. Zainfekowany chrząknął. Chrząknął tak, jak to robią martwiaki. W jego oczach widać było strzępki mgły...

Liam zerwał się natychmiast, zaalarmowany. Gdy pochwycił w rękę skalpel, jego głowa wciąż wypełniona była słowami piosenki.

This may be the first trumpet, might as well be the last...

Uklęknął przy ramieniu Bena. Serce biło w jego piersi w rytm reggae.

Many more will have to suffer.

Już prawie zatopił ostrze w miękkiej skórze upstrzonej widocznymi żyłami, kiedy krzyki ucichły, a ciało Bena rozluźniło się. Liam powoli wstał. *Nie będę wołał Williama, poradzę sobie z umarlakiem sam.* Wpatrywał się beznamiętnie na ciało mężczyzny, które leżało martwe. Nigdy jeszcze nie widział, jak ktoś się przemienia. Było coś fascynującego w tym, jak ścięgnięta zaczynały się ruszać mimo tego, że serce już umarło. Z błyskiem w oku podziwiał powieki Bena, które rozchyliły się i ukazały dwie mleczone gałki oczne. Palce dłoni martwiaka zacisnęły się, skóra napięła, a Liam nie potrafił oderwać wzroku od tej poezji mięśni, od tego absolutnie fascynującego przedstawienia śmierci przemieniającej się w życie...

-Co ty robisz?! Czemu mnie nie wołasz?!

William wbiegł gwałtownie do namiotu dokładnie w tym momencie, gdy Ben się przemienił. Zgrzytanie zębów i chrzęszczący, świdrujący oddech ucichły, kiedy mężczyzna szybko chwycił nóż leżący obok jednego z materaców i wbił go prosto w mózg umarlaka.

-Poradziłbym sobie z nim.

Liam wypluł z siebie te słowa z nieskrywanym wyrzutem. *On zawsze pojawia się wtedy, kiedy ja mogę się wykazać. Zgrywa bohatera i odsuwa mnie w cień, a sam robi wszystko najlepiej.*

-Nie, nie poradziłyś sobie. Czemu, do jasnej cholery, nie zawołałaś mnie jak tylko

zaczął się przemieniać?

Czuł, że narasta w nim wściekłość.

-Ponieważ wiem, że potrafię zabić martwiaka- powiedział cicho i powoli- Nie traktuj mnie jak dziecko.

If you listen carefully now you will hear.

Napięcie w namiocie narastało. William zbliżył się do niego z niesmakiem na twarzy.

-To ty musisz najpierw pokazać, że jesteś mężczyzną. Jesteś lekarzem, dlaczego go nie uratowałeś?

-Gdybyś nie zachowywał się jak pieprzona mamka i pozwolił mi amputować rękę, uratowałbym go. To przez ciebie Ben nie żyje.

-Przeze mnie?!- William wzburzył się- Po prostu boisz się przyznać, że nie jesteś lekarzem.

Many more will have to suffer. Many more will have to die.

Zacisnął skalpel w dłoni.

-Jestem lekarzem-wycedził- A ty wiesz czym jesteś?

William spojrzał na niego pytająco.

There's a natural mystic blowin' through the air.

-Trupem.

Małe ostrze ugrzęzło w klatce piersiowej Williama.

This could be the first trumpet.

Otworzył usta jak ryba, chciał krzyknąć, jednak kolejny cios Liam zadał w gardło.

Might as well be the last.

Strumień krwi prysnął na koszulę, jeansy, i zdeterminowaną twarz lekarza.

Many more will have to die.

Jeszcze kilka razy zatopił skalpel w ciele Williama, nim ten osunął się na podłogę.

Don't ask me why.

Liam dyszał ciężko.

Things are not the way they used to be.

Stał nad dwoma trupami, oddychając ciężko. Nagle zdał sobie sprawę, że nie wie, co zrobić z ciałem Williama. Panikując, zaczął się przy nim krzątać. Najpierw chciał go podnieść, jednak był zbyt ciężki. Czuł, że na jego czole i dłoniach występuje pot. Ze stęknieniem przesunął trupa na jeden z materacy.

This could be the first trumpet...

Chwycił materac za dwa końce, przesunął w tył namiotu i odwrócił się plecami w stronę wyjścia. Wtedy usłyszał westchnienie. *Nie, nie, nie.* W wejściu stała Emma z przerażeniem wymalowanym na twarzy i ustami otwartymi do krzyku.

...might as well be the last.

There's a natural mystic

Skalpelem wyciął dziurę w materiale namiotu, przeskoczył płot. Za sobą słyszał krzyki. Potem wystrzał z pistoletu.

blowin' through the air.

Biegł na oślep przez las rozświetlony poranną łuną. W pewnym momencie zatrzymał się, by złapać oddech. Opadł ciężko na liście. Nie wiedział, gdzie jest, ale odgłosy z obozu ustały. Udało mu się uciec. Dyszał jak pies. Kręciło mu się w głowie i w pewnym momencie zauważył, że z nieba pada śnieg. Wystawił język, a na twarzy poczuł roztopiające się płatki. Zlizął trochę wody z ust. Jak dobrze smakował chłodny śnieg...

Gdy jednak doszedł do siebie i kołatające w piersi serce uspokoiło się, zdał sobie sprawę, że nic nie padało. To krople świeżej krwi spływały po jego policzkach, a na języku czuł ich metaliczny smak.

Such a natural mystic

EPILOG

-Kim jesteś?

-Lekarzem.

Mężczyzna w średnim wieku zbadał go wzrokiem od stóp do głów.

-Jakieś choroby?

Stali przy bramie osady, a zza murów dobiegały wesole głosy i zapach mięsa pieczonego nad ogniskiem. Liam stał przed jednym ze strażników. Po kilku miesiącach tułaczki w końcu napotkał obóz, a raczej wioskę, i nie zamierzał przegapić tej okazji.

-Nie.

-Ile masz lat?

-Czterdzieści jeden. Chyba.

Strażnik pokiwał głową w zamyśleniu i przygryzł wargę. Spojrzał na drugiego wartownika, a tamten przytaknął.

-Witaj w naszej osadzie. Nazywam się Frank.

Liam uścisnął jego dłoń.

-Marley. Nazywam się Marley... Umber.

If you listen carefully now you will hear.

Such a natural mystic blowin' thorough the air.

Może to faktycznie był śnieg? Tak, wtedy to był śnieg. Pewnie niedługo nadejdzie zima.

Many more will have to suffer.

Many more will have to die.